

Martyna Borowska

Kajwalia



Martyna Borowska

Kajwalia

Kajwalia

wydanie pierwsze, ISBN 978-83-958547-4-3

© Martyna Borowska i Wydawnictwo Agrafka 2021

REDAKCJA I KOREKTA

Studio Grafpa

SKŁAD I ŁAMANIE

Anna Szymeczek-Przybyło

OKŁADKA

Anna Szymeczek-Przybyło

DRUK I OPRAWA

Mazowieckie Centrum Poligrafii

ul. Ciurlionisa 4, 05-270 Marki

WYDAWCA

Wydawnictwo Agrafka

ul. Macierzankowa 15, 64-514 Przeclaw

e-mail: wydawnictwo.agrafka@gmail.com

tel: 503 093 660

www.wydawnictwoagrafka.pl

Promienie słońca znów rozjaśniły niebo

i choć znikają tak często,

natura nie poddaje się,

drzewa szczytami wyglądają wschodów,

a góry w pokorze przyjmują chłostę mrozu.

Prolog

Kosmiczne dzieci to kamienie

Marta była zaskoczona ukształtowaniem terenu – u podnóża Miasta na Górze rosły obficie lasy o zróżnicowanym podłożu. Trafiła na miejsca wciąż usłane liśćmi, pokryte wilgotnym mchem albo porośnięte dzikimi roślinami, z których mogła przyrządzić sobie jedzenie. Schodząc wciąż w dół, widziała kwitnące drzewa owocowe; może rodziły słodkie owoce dla duchów lasu, bogów tej góry?

Góra rozciągała się wysoko ponad jej głowę, a na nizinach łączyła z innymi, niższymi pagórkami. W dolinie unosiła się mgła i padał lekki deszczyk. Przypominał on Marcie monsunowe miesiące, które spędzała u podnóżu Himalajów. Wyłączona z życia zewnętrznego, cały ten czas mogła poświęcać na kontemplację, w której nie wychodziła poza siebie – tylko poszerzała i rozciągała swoje Ja. A dźwięk deszczu szeptał do ucha kobiety historie o nowych drogach, które na nią czekają w świecie. Stojąc teraz w mglistej dolinie, dostrzegła piękno tej wędrówki ułożonej z podszeptów serca i niejasnych przeczuć. Mogła podążać w dowolnym kierunku – wewnętrznym czy zewnętrznym jednocześnie...

Na tę myśl chmury przyspieszyły swój bieg po niebie. Sunęły w stronę góry, ciemniejąc. Deszcz naturalnie się nasilił, ale wzrok Marty cały czas padał na ziemię. Intensywna zieleń tych łąk i żdźbła traw ozdobione kropelkami wody wprawiały kobietę w rozczenie, jakie można odczuć tylko na wspomnienie ojczystej ziemi. I wcale nie miało znaczenia, czy urodziła się w tej osobliwej dolinie – nigdy wcześniej tu nie była. Chodziło o szczególną więź, jaką odczuła przez przyciąganie ciała do tego miejsca. Właśnie tu mógł narodzić się świat – może robi to regularnie, w cyklach, a kolebka zawsze pozostaje czysta, dziewicza. Marta odwróciła się w stronę lasu, którym zeszła tutaj z Miasta na Górze. Mienił się bielą, zielenią i różem; odcienie te wypełniały przestrzeń pustą podczas innych pór roku. Jak wtedy wyglądała ta dolina? Pewnie wzbudziłyby w Marcie ekscytację płynącą z grozy – nagie drzewa, błoto pod stopami, jakiś strumyk wpadający do jeziora, które pobłyskuje pod skalną ścianą... A Marta weszłyby do niego goła lub w ubraniu i zanurzyłyby się w lodowatej wodzie. W tym rytmie obrzędu wokół siebie i wszechświata doczekać by mogła swojej śmierci.

Jednak jezioro, do którego się teraz zbliżyła, nie było błyszczące, lecz błotniste i porośnięte tatarakiem. To znaczone kroplami deszczu bagienko wydawało się chłonać w siebie ciszę – zabierało ją całą w swe muliste głębiny i tam czyniło ją jeszcze cichszą. Nad brzegiem każdy mógł trochę doświadczyć tej ciszy, zapaść się w nią, znieruchomieć na wieczność.

Marta oparła się plecami o duży kamień nieopodal i przetrzała mokrą od deszczu twarz, aby opatulić ją potem kapturem. W granatowym płaszczu przeciwdeszczowym wyglądała jak niecodzienna narośl na głazie. Marta Góra ceniła kamienie, mogła być kiedyś jednym z nich i nawet jakaś część jej była jak kamień. Lecz nie wiedziała jeszcze, czy była nim od zawsze, czy to pobyt pod Himalajami umocnił tę część jej osoby.

Dlaczego nie pozostała tam, czemu nie pozwoliła sobie pozostać nieruchomym, cichym reliktem przeszłości albo raczej osobliwej teraźniejszości?

Być może chodziło o miejsce – w świecie lub w niej.

Marta naraz zobaczyła więcej głazów jakby powtykanych w wilgotną ziemię przez olbrzyma. Ich równomierne ułożenie w części doliny nie pozostawiało wątpliwości. Mgła opadła, ukazując kamienne główki – pozabawione jednak napisów, znaków, obrazów. Były gładkie lub chropowate, lśniły od deszczu lub spływał on po nich. Niektóre pokruszone, inne wciąż twarde, stabilne, wyglądały ponad swych starszych towarzyszy.

Kobieta była pewna, że w niektórych przypadkach trzeba się narodzić ponownie, by coś zrozumieć, pojąć. Dlatego śmierć mogła być niejednokrotnie ratunkiem i pocieszeniem. Tęskniła za cmentarzami po długim pobycie w kraju Bharatów¹, gdzie ciała przemieniano w proch, by prędzej znalazły się w dalszej wędrówce lub się z niej wyzwoliły. A pola i zagajniki zastawione nagrobkami – tak różnymi, jak różne są kultury świata – przypominały człowiekowi o jednostkowym byciu, w jakim się narodził. Przemieniały go w symbol, wcielały w kamienie, jakby miał być znakiem dla siebie samego.

Marta Góra odnalazła własne miejsce pochówku, by stanąć nad nim, pokiwać w zrozumieniu głową, że oto jej kamienne jestestwo przetransformowało się w łasce innego życia i świata, bo może gdyby nie globalne zmiany na Ziemi, Marta nie mogłaby zrealizować się w pełni, przekroczyć granicy człowieczeństwa. Kobieta zaśmiała się w duchu: bo przecież większej igraszki z człowieczeństwem niż śmierć i narodziny nie ma. Te dwa wydarzenia sprawiają, że tylko krążymy wokół możliwości bycia człowiekiem, ciągle musimy albo do tego dorastać, albo od tego odpoczywać – zmęczeni, zrezygnowani.

Na szczęście nowa epoka widziała w cmentarzach przystanek, a nie kres. Chociaż w tej dolinie, zapadniętej we własnej ciszy, wszystko było jak na napiętej, pulsującej granicy tańczących ze sobą śmierci i narodzin.

Mieszkańcy Miasta na Górze nie chowali tu zmarłych, bo i zmarłych tam nie mieli. Cmentarz był znacznie starszy, pozostawiony sobie albo naturze, albo właśnie do niej należał.

Marta Góra jak we śnie zobaczyła nagle to wydarzenie: swoją śmierć w tej dolince, jeszcze zanim planeta uległa przemianie, zanim mieszkańcy podgórskiej wsi przenieśli się na szczyt, tworząc miasto. Coś w Marcie, jakaś stara ona, mówiło dawno niesłyszaną modlitwę:

Postawię nienarodzonym pomniki na rozległych zamkowych dziedzińcach, dziedzińcach kwitnących miłością i kolorowymi kwiatami. W zapachu nasienia i potu z uniesienia wytańczę im pozłacane ornamenty. Będą bogami i herosami, dostojnością poranków i nadzieją wieczorów, subtelną wonią i melodią z zaświatów. Wiedzą przedwieczną wypełnią swoje wnętrza, a czynem nadmysli stwarzać będą nowe tory dla galaktyk.

1. Starożytna nazwa Indii, związana z plemieniem Bharatów, które zamieszkiwało północno-wschodnie Indie pod koniec II tysiąclecia p.n.e.

Ja w milczeniu pozostanę stworzycielką cudzych form, niewidocznych, nierealnych niczym boga dom. Dam im za to pukle treści, wiązanki aromatów, garsć idei, by z tym w beczasie mogli trwać. Nie poznam imion, nie będzie ich. Nie ujrzę twarzy, tylko strumień energii i strumień ciepła we wnętrzu siebie i strumień myśli, odczuć... znów polecą wprost ze mnie w bezmiary.

Utkani z rozkoszy – uczucia silnego i trwałego jak kamień – w chwili oswobodzenia z ram. Kosmiczne dzieci i ich taniec u świata bram. Bądźcie pozdrowione, uleczcie nas, zabierzcie...

Wyrzekła się życia, które wyrosło w niej. Mieszkała tam, w lesie, w brzozowym gaju, doglądając młodych jeszcze drzew owocowych. Nie sama, a z mężczyzną o piwnych oczach, których spojrzenie kierował w odległą, skalistą materię innych planet. Taką tęsknotę Marta знаła także z początków swojego obecnego życia.

Mieszkali więc wśród starych brzoź i kobieta widziała ich teraz, jak idą w stronę jeziora błyszczącego czystością. A nad nimi świeciło słońce, otulało ich ciepłem i nadzieją. Gdy zbliżyli się do powierzchni wody, mężczyzna zanurkował zgrabnie i przepłynął na sam środek. Kobieta zaś powoli obmywała ciało, patrząc na swoje odbicie w tafli. Syciła się dotykiem żywiołów na skórze – wody i słońca. W odbiciu sylwetka jednak zmieniała się tak, że kobieta nie potrafiła rozpoznać siebie. Obraz zamazywał się, odbijał górę za jej plecami, dostrzegła drzewa zamiast swoich nóg, liście zamiast włosów, aż nagle wszystko zniknęło, bo na dnie wody zabłyszczały kamienie. Ich piękno i delikatność wzruszyły kobietę do tego stopnia, że bez namysłu zniknęła pod wodą. Lecz było znacznie głębiej, niż sądziła, nie mogła sięgnąć do cennych klejnotów.

Kiedy mężczyzna wyłowił jej ciało, w dłoni nie trzymała ani jednego.

Marta miała mokrą twarz od deszczu i łez. Bezimienne nagrobki dalej obmywała woda i kobieta już wiedziała, że jezioro dopiero tu będzie. Zajmie całą dolinę, dotykając pierwszej linii drzew, przykryje groby, by ciała spoczęły w jeszcze większej ciszy. W głębinach obmyją się ze śmierci i przemianą w rośliny lub klejnoty, obficie pokrywając dno i brzegi jeziora.

Gaj Starych Brzóz

Nie wszystko da się rozwiązać śmiercią. Myślą i wątpliwością także – szeptały ich stare, porośnięte mchem pnie.

Kiedyś była między nimi aleja prowadząca do dzikiego ogrodu. W nim drzewa owocowe kwitły na biało. A inne rośliny, splątane przy ziemi i przytulone do siebie, bujnie zieleniły się co roku.

Bała się otwartych przestrzeni – nie w sensie fizycznym, choć odczuwała to w życiu codziennym, kiedy przesiadywała długo pomiędzy drzewami. Wtedy też wyobrażenie nieskończoności i przestrzeni rosło i oddalało ją od chwili, w poczuciu obcości wszystkiego. To dosyć rozległe stwierdzić – *wszystko*, a jednak Wszystko obejmowało ją w jednej sekundzie spokojnego oddechu w tym lesie.

Choć stare brzozy powtarzały, że śmierć jej nie uwolni od przymusu powracania do wyszywanego strachem Ja, ona wędrowała przez mchy i wrzosa, wyobrażając sobie abstrakcyjną wolność. Nie mogli mieć więcej wolności od świata i innych, niż im się udało zachować. „Dom w lesie” to metafora – domem był las w całości, bez drzwi i okien.

Mieszkali w sprytnie zbudowanej (przy użyciu konopnego betonu) chatce. Ich dni wypełniało lenistwo natury – raz nagrzejanej słońcem, raz obmywanej deszczem, targanej wiatrami lub zastygłej w ciszy wieczorów. Gdy wiosną żółte kwiatki przyozdabiały trawę, rozpoczynali swoje na wprost tylko ludzkie życie. Wybudzeni z zimowego wypoczynku byli pełni energii i ochoty na zielone rośliny oraz krystaliczną wodę, która spływała z górskiego źródła. Przepływała przez Gaj Starych Brzóz i jej szum często uzupełniał ich melancholijne historie.

Marta wiedziała na przykład, że góra, rozrastająca się na każdą stronę świata w formie mniejszych pagórków, odwiedzana jest czasem przez podróżników i włóczykijów. Może sama była kiedyś jednym z nich? Nie potrafiła sobie przypomnieć ani jak znalazła się w tym lesie, ani w dolinie usianej mleczeniami. Czy zeszła z góry i trafiła do urokliwego Gaju, w którym mieszkał ów mężczyzna? Jak długo żyli razem, zanim musiał w smutku wyłowić z jeziora jej ciało? Kobieta odwróciła się od tonących w wyobraźni nagrobków i mrużąc oczy, spróbowała wypatrzyć białe pnie w lesie. Okolica soczysta od

deszczu i świergot baraszkujących w koronach drzew ptaków utwierdzały ją w poczuciu, że jest w miejscu sobie przeznaczonym. Może nawet mieszkający z nią mężczyzna nie przynależał tutaj tak jak ona, związana z doliną poprzez śmierć. Gdzie był? Czy był?

Pamiętała, że do Gaju dotrzeć nie jest łatwo – można zaplątać się w kujące jeżyny i maliny rosnące w części lasu od strony doliny albo odurzyć zapachem obsypanych kwieciami czeremch, które tworzyły ścieżki prowadzące na górę.

Jeśli Marty nie myliły przecucie i mgliste wspomnienie poprzedniego życia, to właśnie brak jednej, prostej trasy z Gaju do jeziora sprawiał, że tak wiele czasu spędzała samotnie z drzewami. Zawsze istniało ryzyko zaplątania pośród znanych – nieznanymi drózek, stworzonych w chwili zagubienia, i znikających, gdy Gaj lub dolina zostawały odnalezione. Musiała więc po prostu wejść do lasu, choć tym razem lękała się nie przestrzeni, a zostawienia jej za sobą. Nie była już pewna, czy Miasto na Górze istniało i czy życie, którym dotychczas żyła, było prawdziwe, i ona...

W tej zielonej niecce świat jakby zanikał lub na nowo się kreował i zapewne te dwie czynności odbywały się jednocześnie, a nawet były jedną historią ludzkości.

Ostatnie przemyślenia czmychnęły z głowy Marty, kiedy tylko zanurzyła się w leśnej kniei. Powitały ją stare, smukłe dęby i ich leniwe, wciąż uschnięte liście, chociaż reszta lasu już odżyła po zimie. Kobieta ominęła poskręcane krzewy z kolcami, idąc prosto na wschód, a potem wskakując w przełęcz pomiędzy nimi, pod górę. Czuła jednak, że im wyżej wejdzie, tym dalej od celu się znajdzie, więc szybko skręciła ku grubym sosnom i suchym modrzewiom. Długo wędrowała po mchu, nie czując nad sobą ani słońca, ani deszczu, ani światła księżyca. Półmrok towarzyszył kobiecie aż do mchowej polany, która wprawiła ją w dziwną nostalgię – draśnięcie wspomnieniem ciała. Wiedziała już, jak odnaleźć nieistniejącą drogę, że za bardzo odeszła na wschód i zapomniała lepiej wsłuchiwać się w okoliczne odgłosy. Szum strumienia powinien ją naprowadzić – ale nic nie szumiało, tylko kapało monotonna. Po chwili Marta dostrzegła, że to woda skapywała do małego zbiornika utworzonego z lśniących kamieni. A wokół trwały brzozy, z pniami zszarzałymi lub omszonymi, wysokie, pochylone od wpływu lat i wiatrów.

Wiele z nich nie miało już liści ani gałęzi – stały, pustosząc w środku niczym słupy leśnych granic. Lecz nie były samotne, porastały je huby, które wyglądały jeszcze starzej niż sam świat.

Marta postukała paznokciem w twardą skorupę jednej z nich. Ten cichy dźwięk poodbijał się echem od pni brzoź, porostów, pomknął nad kamieniami zastygłymi w starej alejce do ogrodu. Majaczył w oddali – ocieplany kolorami zachodzącego słońca, ale Marta wiedziała, że pokrywa go wiele cieni drzew. Ich podwójna obecność w ogrodzie wprawiła teraz kobietę w podniosły nastrój, jakby w tych drzewkach obsypanych kwiatami, a potem owocami, kładących się długim cieniem na pokrzywach i przytuliach – jakby w tej dwoistości widziała samą siebie. Zanurzona po kolana w zaroślach nawet czuła się trochę jak drzewo, a przecież to kamieni poszukiwała i za nie zginęła. – Gdy wyłowilem je wszystkie, wybierałem, wyśledziłem, żeby już nikt nie musiał, jezioro zaczęło wysychać i zarastać... – Usłyszała Marta i byłaby skłonna porozmawiać ze Starą Brzozą, gdyby nie zwyczajny, ludzki cień tuż obok niej.

Wielki huk rozłamał ściany uszu²

– To jest coś więcej niż wyzwolenie, prawda? Ta śmierć – rzucił następnie pytanie w obejmującą ich ciszę. Wciąż pozostawał w ukryciu pomiędzy starymi pniami. Marta nie odpowiedziała, bo i nie wiedziała co.

– Ale nie każdy umie... wiesz, w śmierć. Ja nie umiałem. – Kiedy się poruszył, poczuła słodki zapach kwitnących jabłoni.

– Umrzeć? – spytała więc Marta, ale miała wrażenie, jakby wcale nie wydała z siebie głosu.

– Nie, żyć ze śmiercią u boku. Ludziom się wydawało, że nie było na nic czasu. Czasu na cierpienie, ale ja miałem i chciałem go mieć. Dlatego wyłowilem te twoje kryształki. Długa praca... nadała życiu jakiś sens. Potem zacząłem z nich budować, tworzyć przedmioty, ozdoby.

Być może dawno nie mówił na głos. Teraz robił to szybko, jakby z lękiem, że kobieta zniknie i nie oceni jego pracy. Liczył na to, że zostanie? Że wszystko zacznie się na nowo, ale już bez zagrożenia śmiercią?

– Czekałem dość długo, sama widzisz. – Wreszcie wyłonił się zza drzew i Marta ujrzała twarz znajomą, choć była to twarz staruszka. Siwa broda, włosy zakręcone i niesforne, pomarszczona skóra, ale oczy dalej żywe, mądre, pełne spokoju. Westchnęła zszokowana, a parę łez spłynęło po jej policzkach.

– Pójdziemy? – zapytał, kierując się w gąszcz, spomiędzy którego prześwitywały barwy drogocennych kamieni.

Marta ruszyła powoli, kosztując każdej sekundy tego wydarzenia, bo było delikatne, ulotne i tak niewinne.

– Każdy dzień, jakbym go rodził, przychodził z wysiłkiem, ale i satysfakcją – mówił mężczyzna. – Pod tymi górami odkryją złoża minerałów starszych niż ja, a ten Gaj będą mogli odwiedzać pielgrzymi kwiatów i kamieni.

Marta wiedziała, że to wszystko już się dzieje, a ona jest pierwszym pielgrzymem, nawet jeśli dopiero teraz sobie to uświadomiła.

– Usiądź wygodnie. – Wskazał wyłożone połyskującymi krzemie-

2.Kalidasa, Narodziny boga wojny.

niami krzesło i stolik tuż przy palenisku. Wszystko wokół mieniło się słodkimi kolorami, mrugało do niej i onieśmiało swoją niepowtarzalną energią.

– Wszystko jest jak wiatr, tak powiedziały mi kamienie – oznajmił mężczyzna, podając Marcie gliniany półmisek pełen ziół. Pływały w nim listki mięty, melisy, kwiaty mleczy i krwawnika. Marta nie była pewna co do obowiązującej pory roku. Kiedy mężczyzna podał jej dorodne, żółtawe jabłuszko, przestała o tym myśleć. Ale wciąż nie zaczynała mówić – on czekał na historię, na jej opowieść, a kobieta tak rozpaczliwie pragnęła wysłuchać tego leśnego człowieka, tego... lasu. Milczała więc, zwyczajem danym tylko kobietom, gdy wewnątrz aż kipi od skocznych harmonii.

Mężczyzna przecesał dłonią długą, siwą brodę. Przez chwilę wyglądał młodziej, a jednolite, brązowe ubrania tak na nim nie wisały. Zniknęła za błyszczącą od kryształowych wstawek chatką. Marta myślała przez ten czas o tym, od czego mogłaby zacząć opowieść. Jednak wszystkie wydarzenia z życia zlewały się i zamieniały miejscami, uciekając przed czasem. Zacisnęła palce na skroniach i wlepiła wzrok w zielen drzew, następnie w błękit nieba, zrobiła kilka wdechów, które ubrały chwilę w zapachy świeżości, mchu i kwiatów.

Kim jestem? – spytała w myślach, gdy mężczyzna wyszedł z drugiej strony paleniska. Trzymał garść malin, wciąż ociekających wodą. – Jak widzisz, wszystko pięknie rośnie, dojrzewa... – Wsypał maliny na jasny, gliniany półmisek, uśmiechając się tak nieznacznie, że Marta w tym geście dostrzegła coś znajomego. Chwilowa dezorientacja zmusiła ją do wzięcia paru łyków ciepłego napoju. Jego oczy śledziły każdy ruch kobiety z cichą adoracją i zdumieniem pełnym pokory. Te oczy otulały Martę wspomnieniem ciepła, jakiejś czułej prostoty, bo przecież je znała już kiedyś, tak samo realnie.

Mężczyzna przybliżył się do niej i zapatrzył intensywniej w nieodgadniony wyraz twarzy swojej dawnej ukochanej... A może jeszcze nie...?

– Chciałabyś się ze mną kochać? – zapytał cicho, by każde słowo dotarło do niej lekkie i cierpliwe, głaszcząc kobietę po całym ciele subtelnym brzmieniem.

Marta wydała niekontrolowany dźwięk zaskoczenia podszytego nawet przerażeniem. Zbliżyła jednak głowę do mężczyzny i postanowiła pocałować go w usta. Był to pocałunek pozbawiony jakichkolwiek przymiotników, również wartościujących. I po tym zwykłym pocałunku wiedziała już, odrywając od niego wargi, że nie chce się kochać.

Lecz wtedy otworzyła oczy i napotkała jego czujne spojrzenie. Wzywały w nim kobietę światło, nadzieja i doskonała przestrzeń w tle. Obejmowała to miejsce, cały las, może górę, a one wyciągały do Marty swoje miękkie dłonie i gładziły jej twarz. Zapachniało ukojeniem, gdy zawiął wiatr od strony doliny.

Jakieś melodie zabrzmiały nad ich głowami i ciepło wezbrało w oddalonych o nieśmiertelność sercach. W tej tańczącej z Martą pustce, będącej doskonałą formą dla doświadczania – szczególnie tego niespotykanego rodzaju – rozbłysły możliwości i wybory. Rwała się do nich, ale już nie chciała błądzić po decyzyjnych szlakach pełnych bzdurnych formuł. Miała nie powracać w koła swoich wcieleń, przemyśleń i wymiarów.

Marta upoiła się więc odczuciem pewności i spokojnie przymknęła powieki. Słyszała tylko szum liści, kapiących z nich kropel wody i jego oddech, w którym rodziły się i umierały jej wszelkie wspomnienia.

Część 1

Hara

Bezmiar mym ładem

Jogini mówiła, zapytana o swój świat:

Naprawdę wydawał się najlepszym z możliwych... Teraz zajaśniał tą przedwieczną wiedzą – po wielu trudach i walkach o łaski własnego sumienia. Bo kiedyś obawiając się o swoje przetrwanie – przywiązał je do siebie. To miało zapach... niezbyt przyjemny...

...ale jej kadzidła lubiałam. I dźwięki, które gdzieś w tle przygrywały naszym spotkaniom. Tak skocznie zachęcały do życia – równoczesnego, na różnych planach rzeczywistości.

Miałyśmy wspólne rozkosze: jedzenie soczystego mango, trzymając je w dłoniach, pozwalając, by słodkie soki obmywały nasze skóry. Potem, po przemyciu wodą, były pachnące i nawilżone. Było też Milczenie... I odpoczywanie na słońcu.

Reszta rzeczy rozplątywała się w Siunjacie³, bo chyba tak należałoby to określić. W niej przedmioty i podmioty rozbijały się na bezimienne gwiazdozbiory przeżyć. Nie miały imion, bo ludzkie kategorie do nich nie pasowały, a nawet jeśli – nie miałyśmy potrzeby ich używać. Nic nikomu nie tłumaczyłyśmy, nie trzeba było szeregu dowodów i argumentów, żeby udowodniać własne czucie. Zanikałam, a jednak wciąż byłam to ja – w całej swojej głębokości.

Czy Jogini badała te granice? Miała we wnętrzu labirynty poznania, dobrze oznaczone i skatalogowane? Nie musiała. Być może potrzeba porządkowania wynika z możliwości – ona ich nie miała. Była niepiśmienna, a czytanie przychodziło jej z trudem w każdym z języków, które poznała podczas wędrowki przez różne stany dawnych Indii. Poznała je dzięki samemu obcowaniu z kulturą, nie przez rozmowy.

Potrzeba konwersacji zajmowała u niej dosyć odległe miejsce; inaczej było 3.Siunjata (pustka) – idea ostatecznej rzeczywistości i stanu skupienia równocześnie pustego i pełnego, brak istnienia przejawień własnej natury zjawisk wobec osoby. Byty, zjawiska nie posiadają odniesień do świadomego ja, są formą tworzącą przestrzeń.

z ruchem i obserwacją poprzez zawieszenie w stanie cichej kontemplacji. To też stało się sposobem na część życia mojej Jogini. Bo druga połowa należała już w jakiś sposób do mnie i przyrody górskiej, dającej jej wytchnienie po przebyciu Thar, na którą to pustynię Jogini zapragnęła powrócić w dzień swojej śmierci.

Niestety historia niespodziewanie powróciła w ramy i ograniczenia społeczności, z których uporem i sprytem się wyzwoliła. Ciężka więc na mnie odpowiedzialność będąca też zaszczytem, aby odprowadzić Jogini wszelkimi sposobami na Thar, choćby było to tylko małe ziarenko jej prochów.

Hara, bo takie imię przyjęła, odkąd poznałyśmy się i postanowiłyśmy wspólnie rozwijać, pochodziła z typowej rodziny wajsjów⁴. Handlowali przyprawami i szytymi przez kobiety z rodu chustami. Wbrew światowemu rozwojowi i otwarciu kraju Bharatów na tak zwaną cywilizację, jej rodzina hołdowała dawnym zwyczajom. Tak też Hara miała poślubić jako dziewczynka dorosłego mężczyznę, poważnego i pełnego dystansu właściciela niewielkiej plantacji cynamonowców. Biznes był jego całym światem, a wszystko poza – koniecznym dodatkiem pozbawionym barw. Jednak Hara nie wpisała się w żaden odcień tej szarości – w porę uciekła z domu i tak rozpoczęła się jej wyzwolencza tułaczka.

4. Trzeci stan społeczny w Indiach (rolnictwo, handel, produkcja).

Obraz nieuchwytnego zwidu życia

Hara wiedziała, dlaczego ciągnęło ją do wody. Pragnęła kąpać się w chłodnej rzece o poranku i zasypiać wpatrzona w zachodzące słońce nad jej brzegiem. To był cel młodej dziewczyny, która wymknęła się nocą z domu w wygodnym salwarze⁵ o ciemnozielonej barwie. Nie miała odwagi prosić rodziców o błogosławieństwo i pozwolenie na podążanie ścieżką ascezy. W czasach, które niedawno minęły, nawet słodka Jambudvipa⁶ nie hołdowała jednostkom pragnącym rozwijać się poza społeczeństwem. Pustelnicy byli krytykowani i mało kto decydował się na taki los, głównie z rozleniwienia i kurczących się możliwości bycia „poza”.

Lecz czasy te już się kończyły i Hara czuła to całą sobą. Wiedziała, że ucieczka jest możliwa, nawet dla kobiety i nawet one na powrót będą mogły wieść życie joginek i ascetek, z dala od klasztorów i aśramów – na łonie natury, którą globalne zmiany znów otoczyły opieką, przestając w nią ingerować.

Wychodząc z wioski, Hara widziała przed oczami bogatą biżuterię i lśniące czerwienią sari⁷, które miała założyć za dnia, wypchniona olejkami i perfumami. Były to obrazy niedosłej przyszłości i napawały dziewczynę nostalgią, a także smutkiem, bo przecież pozostawiła rodzinę, odrzuciła wszelkie dobra, jakie od niej otrzymała. Równocześnie jednak Hara, mając taką naturę, odważnie patrzyła przed siebie i słyszała każdy szum wody w okolicy. Wiedziała, gdzie iść, aby nikt jej nie zauważył – przez gaje, pastwiska, pola i tory pociągowe. Kiedy znalazła się wreszcie przy jednej z odnóg rzeki Godawari, mogła odetchnąć ze spokojem i pomyśleć o Tym, którego wspomnienie kazało dziewczynie zmierzać właśnie w kierunku wody.

Miała przed paru laty przyjaciela, urodzonego w pobliskim mieście,

5. Salwar kamiz – tradycyjny strój azjatycki (głównie noszony w Afganistanie, Pakistanie, Bangladeszu, Nepalu i Indiach Północnych), złożony z tuniki (kamiz) i luźnych spodni (salwar) oraz chusty, szalu (dupatta).

6. Wyspa Różanej Jabłoni. Mitologiczna nazwa centrum ziemskiego świata według kosmologii hinduizmu, buddyzmu, dżinizmu. Tutaj w znaczeniu mitologicznej nazwy Indii.

7. Czerwone sari przywdziewają hinduskie kobiety w dniu ślubu.

ale wraz z rodziną często przyjeżdżającego na wieś. Wioska pełna figowych sadów dostarczała dzieciom wiele radości z przestrzeni i wolności w poznawaniu świata.

Rama dumnie powtarzał, że jest synem znanego w całych Indiach Sutra-hary, Architekta. Zwiedzał z nim piękne miejsca i świątynie, chłonąc wiedzę z całego świata. Był jeszcze dzieckiem, a już wiedział, że nie jest mu pisany żywot pełen uwikłań w systemy i obce idee. Pragnął zostać sadhu⁸, ale rodzice naturalnie nie chcieli o tym słyszeć. Kiedy narodził się jego brat, złągodnieli nieco – mieli bowiem potomka, więc jeden syn mógł obrać wymarzoną ścieżkę życia. Zaproponowali Ramie pracę na plantacji konopi jako przyuczenie do dorosłego życia. Syn zastrzegł, że po odpowiednim czasie dołączy do ascetów i więcęj go zapewne nie zobaczą.

Dla Hary było to wszystko szokujące i nieco smutne – znów została sama i jedyne, co wiedziała o przyjacielu z lat dzieciństwa, to że pracował na plantacji w delcie Godawari i medytował, wpatrując się w horyzont lśniący nad Zatoką Bengalską.

Hara wiedziała, że Rama długo tam nie pozostanie. Często słuchała jego wywodów (bo sama była milcząca) o świątyni w Orysie, do której chciał zawsze pójść w nocy i stamtąd obserwować niebo, napawać się wiecznością. Za dnia panował tam zbyt wielki gwar.

– A potem – mawiał chłopiec – poszedłbym wzdłuż Zatoki nad jezioro, zmontowałbym tratwę, bo umiem, już to robiłem z tatą. I na tej tratwie puściłbym się w wodę i może tam został... Siedzieć, tak po prostu, płynąć, kiedyś może i dalej na ocean, i tam odkrywać architektury nieznanymi wysp... Tak bym chciał wędrować, pływać.

– Czy sadhu tak robią? – zapytała wtedy Hara. Rama wzruszył ramionami i rzekł, że mógłby być takim jako pierwszy.

Dla Hary było to wszystko szokujące i nieco smutne – znów została sama i jedyne, co wiedziała o przyjacielu z lat dzieciństwa, to że pracował na plantacji w delcie Godawari i medytował, wpatrując się w horyzont lśniący nad Zatoką Bengalską.

Hara wiedziała, że Rama długo tam nie pozostanie. Często słuchała jego wywodów (bo sama była milcząca) o świątyni w Orysie, do której chciał zawsze pójść w nocy i stamtąd obserwować niebo, napawać się wiecznością. Za dnia panował tam zbyt wielki gwar.

8. Sadhu (cnotliwy) – święta osoba, wędrowny asceta, czasem praktykujący również jogę.

– A potem – mawiał chłopiec – poszedłbym wzdłuż Zatoki nad jezioro, zmontowałbym tratwę, bo umiem, już to robiłem z tatą. I na tej tratwie puściłbym się w wodę i może tam został... Siedzieć, tak po prostu, płynąć, kiedyś może i dalej na ocean, i tam odkrywać architektury nieznanymi wysp... Tak bym chciał wędrować, pływać.

– Czy sadhu tak robią? – zapytała wtedy Hara. Rama wzruszył ramionami i rzekł, że mógłby być takim jako pierwszy.